



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

Niedawno jeszcze zażywający wielkiego rozgłosu i cieszący się niezwykłą popularnością pisarz Zygmunt Kaczkowski przeniósł się do wieczności w Paryżu, a o śmierci jego dowiedział się kraj dopiero w kilka dni po pogrzebie i przypomniał sobie człowieka, który przed trzydziestu laty zwracał na siebie nieustannie oczy ogółu, czytającego z niesłychanym zajęciem jego powieści.

Urodzony w r. 1826-ym w Bereźnicy w ziemi Sannockiej, początki nauki pobierał w domu ojcowskim i już w piątym roku życia umiał czytać nie tylko po polsku, ale i po francuzku, a także nieco pisać i rachować, zaś mając lat siedm, złożył egzamin z czterech klas normalnych (elementarnych); mimo to z powodu zbyt wczesnego wieku jeszcze dwa lata uczył się w domu pod kierunkiem ks. Żegestowskiego i Józefa Niklewicza, który, będąc sam wielce rozmiłowanym w poezyi, mniej zważał na systematyczny kurs nauk, a natomiast czytywał ze swym uczniem całemi godzinami różnych poetów europejskich i, błądząc z nim w górach, wzbogacał jego umysł luźnemi wiadomościami z dziedziny przyrody, lekceważąc nauki szkolne. Pomimo to Kaczkowski po dwóch latach złożył powtórny egzamin do gimnazjum, a ukończywszy je w Przemyślu, wstąpił w r. 1842 na uniwersytet lwowski, gdzie skończył najpierw wydział filozoficzny, a następnie zapisał się na prawni; tu atoli studiami systematycznymi zajmował się bardzo mało, spędzając czas albo na wsi, którą mu ojciec odstąpił, albo częściej we Lwo-

wie, gdzie dni całe popisywał się szybką jazdą końmi, do których szczególniejszego nabrał zamiłowania, zaś wieczory spędzał na pogawędkach z literatami. Luźne artykuły i wiersze, umieszczane w tym czasie, jako pierwsze próby literackie Kaczkowskiego, w lwowskim „Dzienniku mód paryskich,” otwarły mu wstęp na wieczory literackie w Zakładzie Ossolińskich, którego ówczesny dyrektor Kłodziński, poznawszy niepospolite zdolności młodzieńca, zachęcał go do trzymania się Zakładu, z czego niemałe mógł osiągnąć korzyści umysłowe.

W r. 1848-ym z zapałem zabrał się do studyów nad dziejami narodowemi, szperając w różnych bibliotekach i wertując najrozmaitsze dokumenty, pochodzące z wieków ubiegłych. Miał nawet zamiar napisać studjum historyczne o niektórych wypadkach z XVIII-go w., atoli im pilniej badał źródła dziejowe, tem mocniejszego nabywał przeświadczenia, że sprostac temu zadaniu nie zdoła z powodu braku dostatecznej ilości materyałów, któreby mogły wyswietlić wiele ciemnych stron ówczesnego życia społecznego. Przekonaawszy się tedy, że jest to zadanie, z którego dopiero przyszłe pokolenia uczonych się wywiążą, odstąpił od niego, a natomiast postanowił w szeregu powieści historycznych odzwierciedlić kunsztownie ducha ludzi, działających w XVIII-ym w. Mając tedy spory zasób wiadomości, tyczących się tego stulecia, a nabytych albo drogą tradycyi rodzinnych, albo pilnem studyowaniem starych rękopisów, rozpoczął w roku 1851-ym pisanie powieści historycznych, które z gorączkowym niemal pośpiechem ogłaszał. Ukazały się tedy jedna po drugiej: *Bitwa o chorążankę*, *Kasztelanice Lubaczewscy*, *Junakowie*, *Murdelio*, *Mąż szalony*, *Pierwsza wyprawa pana Marcina* i t. d., powieści, w których wystąpił autor, jako malarz szlacheckiego życia z XVIII-go w. W przekonaniach jego, sympatyach, również jak i w umyśle rok 1846 uczynił stanowczy przełom: o ile przedtem był on demokratą zapalonym, o tyle od tego czasu staje

się zwolennikiem starej szlachty, którą chętnie w powyższych powieściach opisuje. Zauważyć wszakże należy, że w tym kierunku Kaczkowski nie wpadł w ostateczność, jak to np. Pol uczynił; szanował on przeszłość, rad malował dodatnie typy szlacheckie, jednostki, pełne najjaśniejszych uczuć, zdolne niejednokrotnie do bohaterstwa, do bezgranicznego poświęcenia się, ale obok tego nie zamykał oczu na wady, które ciemnemi, jak na to zasługują, malował barwami. Dlatego to właśnie po ukazaniu się tych pierwszych utworów Kaczkowskiego poczęto najsprzeczniej o ich autorze wygłaszać sądy: gdy jedni zarzucali mu zbytne rozmiłowanie się w starszszlacheckości, drudzy pomawiali go o aspiracje demokratyczne. W istocie stał się on po roku 1846-ym człowiekiem dojrzałym, rozważnym, potępiającym wszelką przesadę, wszelką ostateczność. I takim wystąpił również w szeregu napisanych wkrótce potem współczesnych powieści: *Dziwożona* (1854), *Wnuczka* (1855), *Bajronista* (1856), a nade wszystko w powieści: *Żydowscy* (1860) i *Rozbitek* (1861). Jest on tu przeciwnikiem wszelkich gwałtownych reform, a zwolennikiem pracy cichej i wytrwałej; nawołuje do wypełniania sumiennego obowiązku, jakimkolwiek one są, uważając, że ogół powinien skupić swe siły w pracy drobnej, cichej, ale również pożytecznej.

Około r. 1860-go począł się we Lwowie nowy ruch literacko-społeczny, w którym Kaczkowski wziął żywy udział, najpierw jako stały współpracownik „Kółka rodzinnego,” tygodnika, założonego w tym czasie, a następnie jako redaktor „Głosu.”

Przemieszkując stale w Paryżu lub Wiedniu, poświęcił się najpierw studjom nad ekonomią polityczną i skarbowością, a następnie oddał się całkowicie operacyom finansowym, które mu ogromny kapitał zapewniły.

Od tegoż mniej więcej roku wziął rozbrat z piśmiennictwem, kiedykolwiek tylko jakimś utworem powieściowym dając znać o sobie. Do takich należą: *Graf Rak* (1878), w którym skreślił

autor najnowszy typ bogacza przemysłowca, mającego manię studiowania astronomii, i obok niego zgrupował szereg podrzędniejszych postaci o cechach kosmopolitycznych, dzięki czemu powieść pozbawiona jest zupełnie charakterów i kolorytu miejscowego. Drukowana w kilku lat potem powieść historyczna *Abraham-Kitaj* (1886), jakkolwiek pod względem obrobienia artystycznego podrzędniejsze zajmuje stanowisko, atoli odznacza się pogłębieniem stosunków społecznych z końca XVII w. i dobrą charakterystyką występujących w niej postaci. Atoli najwięcej rozgłosu w tym okresie twórczości Kaczkowskiego miała *Teka Nieczui* (1883), dzielna satyra polityczno-społeczna na stosunki galicyjskie, w której autor przez usta zmarłych wybitniejszych pisarzy z XVIII i XIX w. (jak np. Krasickiego, Niemcewicza, Lelewela, Mickiewicza i t. d.) wypowiada śmiało swoje poglądy, tyjące się obecnego stanu Galicji.

Najcelniejszemi tedy utworami zmarłego powieściopisarza pozostaną zawsze te, które powstały w najpłodniejszym i najświetniejszym okresie jego twórczości, t. j. pomiędzy r. 1851—1861. Z nich krytyka wyróżnia: *Dziwożonę* (1854), *Wnuczęta*, *Bajronistę* (1855), *Żydowskich* (1860), wreszcie *Rozbitka* (1861), aczkolwiek ta ostatnia powieść pod względem artystycznym jest najslabiej wykonaną. We wszystkich tych utworach Kaczkowski charakteryzuje społeczeństwo galicyjskie w połowie b. st., wytykając brak oświaty, upadek moralny, anomalie w stosunkach klas społecznych, brak siły rozumu, któryby trzymał na wodzy zapał i fantazję, wreszcie pewne nadwątlenie w zakresie religii, którą uważa za główną podstawę cywilizacji. Obok postaci ujemnych, dla których barw ciemnych autor nie żałował, wprowadza i dodatnie, jako ideały, mające służyć wzorem dla ogółu. Takie postacie, jakkolwiek możliwe w rzeczywistości, nie były jednak wzięte z natury przez autora, który, jak to było wogóle w zwyczaju u ówczesnych powieściopisarzy, przeważnie kreślił dodatnie charaktery nie takimi, jakimi są w danej chwili, ale jakimi być powinny; dawał, jednym słowem, wzory do naśladowania.

Z powieści historycznych, napisanych w tymże okresie twórczości, do najlepszych zaliczone są: *Murdelio* (1853), *Bracia ślubni* (1854), *Sodalis marianus* (1858), *Annuncjata* (1859), wreszcie najznakomitsza ze wszystkich prac Kaczkowskiego świetna powieść *Olbrachtowi rycerze*, drukowana poraz pierwszy w Gazecie warszawskiej wprawdzie dopiero w 1888 r., atoli naszkicowana znacznie wcześniej, bo około 1853 r., zaś później wykończona. W niej widzimy przepysznie nakreśloną charakterystykę mieszczaństwa i upadającego już rycerstwa w końcu XV-go stulecia i pierwszych latach XVI-go. W powyższych zaś i wszystkich wogóle pozostałych powieściach historycznych autor daje nam wizerunek XVIII-go wieku, kreśląc pojedyncze objawy życia narodowego i zapatrując się na nie ze stanowiska możliwie obiektywnego, a więc temsamem podnosząc jednostki i ich czyny zaiste, szlachetne, a obok tego nie zamykając oczu i na strony ujemne życia społecznego, jak np. na niski poziom oświaty, upakarzający stosunek szlachty do magnatów, ujemny wpływ francuszczyzny i t. d. Do celniejszych prac Kaczkowskiego o charakterze naukowym oprócz licznych pomniejszych, a będących na dobie artykułów lub broszurek, należy zaliczyć dwutomowe studium historyczno-obezyajowe p. t. *Kobieta w Polsce*, którego pierwszy tom wyszedł w r. 1862, zaś drugi dopiero przed kilku laty się ukazał.

Urabiając sobie ogólne pojęcie o charakterze talentu znakomitego powieściopisarza, musimy przyjść do wniosku, że Kaczkowski był to umysł refleksyjny, przedewszystkiem umiejający wnikać w istotę najrozmaitszych zagadnień społecznych, natomiast mniej był on psychologiem i artystą; stąd w powieściach jego przeważa refleksja, rozumowanie, nawet moralizowanie ze szkodą dla artystycznej strony utworu.

Powieści Kaczkowskiego w miarę ukazywania się w druku wywoływały liczne i nawet obszerniejsze, jak na to zasługiwały, recenzje i krytyki. Pisali tedy o nich: Kraszewski, Grabowski, Siemiński, Korzeniowski, Bartoszewicz, Tyszyński, Padalica, Szajnocha, Pietkiewicz, Koźmian, Kondratowicz i wielu innych; obszerniejszą atoli monografię o ca-

łej działalności literackiej Kaczkowskiego skreślił Wincenty Korotyński przy wydaniu celniejszych pism zmarłego powieściopisarza w r. 1875; zaś najlepszą o nim pracą, doskonale charakteryzującą rozwój i naturę talentu autora, jest studium Piotra Chmielowskiego, zamieszczone w pierwszej seryi *Naszych powieściopisarzy* (1887).

J. Nitowski.

Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dokończenie).

A Janka milczała. Gładziła tę jej najukochańszą głowę, która tuliła się do niej z bezgraniczną miłością i myślała, że ona przecie musi się rozstać z nią na zawsze... Miała w tym względzie jakąś straszną, spokojną pewność—czuła wyraźnie, że opuszcza teraz wszystko co kochała na ziemi—że wstępuje w świat jakiś zimny—straszny i tajemniczy, który ona odpycha całym instynktem swojej młodości, swojej żądzy życia i szczęścia...

Czuła, że ten nieszczęśliwy Zygmunt kocha ją nadwszystko, że mógłby jej dać szczęście bezgraniczne—wymarzone—prostu niesłychane... że ona szczęśliwa była i w te kilka słonecznych dni, które jej dać mogły tylko przedsmak przyszłości—czuła, że to się nigdy już—nigdy—nie wróci—i porwał ją szeroki—bezbrzeżny, jak morze żal—bez nadzieja, cicha rozpacz... przerażenie... Ciemności wydały jej się jakieś gęste i jakby materyalne—ruchliwe—ukrywające w sobie straszliwe tajemnice... Zdało jej się, że lada chwila wypełni z jakiego kąta ta lodowata, nieubłagana siła—ściśnię ją za gardło, przygniecie piersi i będzie dusić... dusić...

Zerwała się w najwyższym przerażeniu, objęła silnie głowę Marzejskiego...

— Zygmuncie...—szepnęła—ja tak się boję...

Marzejski drgnął. Nerwowym ruchem podniósł się, objął to kochane, drżące ciało i przycisnął do siebie... Straszne myśli zawirowały mu w głowie... Siadł obok niej, tulił ją do piersi i nie śmiał się ruszyć, nie śmiał przemówić, choć czuł, że ta cisza i ciemności miały w sobie coś przerażającego.

Wiatr szumiał i wył i szeleścił jakimś papierem w oknie. Z drugiego pokoju dochodził cichy szept modlitwy. Okiennica skrzypiała i głucho uderzała o ścianę.

Janka drżała coraz bardziej.

— Jak tam musi być zimno—w tej ziemi...—szepnęła nagle.

— Moja ty najmiłsza... najukochańsza... — wyjąknął Marzejski, tulił ją do siebie, całował jej złotą główkę i czuł że mu się serce rozdziera w kawałki, że myśli mu gdzieś uciekają—że chce mu się chwilami krzyżeć z przerażenia, bólu i wściekłości na ten straszny gwałt i niesprawiedliwość, która mu wydrze lada chwila jego skarb, jego nadzieję, jego wszystko...

I czuł to wyraźnie już w tem wyciu wiatru, w tej beznadziejnej modlitwie, w przyspieszonym bicu ich sere...

Ale Janka znowu przerwała milczenie.

— Zygmuncie... szepnęła — jak ja umrę... to ty będziesz bardzo nieszczęśliwy...

Zygmunt przytulił ją rozpacznie do siebie.

— Cicho!... jęknął, cicho... dla Bogal...

— Ja teraz wszystko widzę jasno—zaczęła Janka głośnie i prędzej—ja ci zwiechnęłam życie, ja ci nie mówiłam nie że jestem chora, oszukałam ciebie, nie powinienam była pozwolić... Zygmuncie... — ty mogłeś być tak szczęśliwy!... Zygmuncie... — jak ja umrę... to wszystko przezemnie... ty gotów jesteś

jeszcze... Zygmuncie... nie rób tego... powiedz mi, przysięgnij, że tego nie zrobisz!... Ty będziesz jeszcze szczęśliwy — i wielki... tak!... będziesz... będziesz... prawda Zygmuncie?... prawda?... prawda?... — Co ty mówisz?!... Jankol!...

— Zygmuncie, ja bez tego nie umrę spokojnie!... ja czuję że lada chwila... to jest twój obowiązek... obowiązek... dla ludzi...

Wtem poruszyła się niespokojnie. Serce zabiło jej gwałtowniej... Obiema rączkami objęła go konwulsyjnie za szyję...

— Zygmuncie!... szepnęła jakimś przerażonym głosem, który mu krew zmroził w żyłach... Zygmuncie!... dla czego tam tak jasno?!... Co tam się rusza?!... Zygmuncie!...

— Too... matka... świecę zapaliła — odparł trzęsącym się głosem—papier rusza się na oknie... Dziecino droga...

— Zygmuncie... szepnęła jeszcze i osunęła mu się na ręce bezwładna... serce biło jej coraz wolniej...

— Janko... wyszeptał Zygmunt, nieprzytomny z przerażenia... Pochylił się nad nią i w obłędzie zaczął całować jej włosy—jej oczy—jej usta...

Ale one nie oddawały mu pocałunków — nieruchome—chłodne...

Z piersi wydarł mu się nieludzki, chrapliwy jęk, mrok przesłonił oczy — i na chwilę, krótką jak mgą, przesłała mu przez obłąkany mózg jakaś okropna, bolesna, niedorzeczna myśl—poczem chwyciła go zgroza i osłupienie — ciało stężało, oczy wyszły na wierzch głowy, oddech wezbrał straszliwie w rozszerzonych piersiach i zacieżył kamieniem...

Lecz wnet wszystko zaczęło się uspokajać, roz-wiewać, ginąć — i zdało mu się że leci w ciemną przepaść bezdenną, pełną jakiegoś tęsknego ukonienienia...

...Otworzył oczy. Ktoś pryska mu wodą na twarz ktoś trzyma mu ramiona... Kto to?... Gdzie on leży?... co mu tak ciężko na piersiach, jakby je góry przygniotyły?... Spróbował wstać. Uniósł się z wysiłkiem i oparł jedną rękę o podłogę...—Świece na stole... płoną tak olśniewającym blaskiem... Przy-mrużył oczy i poczęł nieprzytomnie rozglądać się po pokoju...—Coto za kobieta płacze przy łóżku?—Czego ona włosy rwie? — Dlaczego on siedzi na ziemi?... Powiodł ręką po czole... Ah co za drażniący płacz!... Niech ona nie rwie tak włosów! — Niech przestanie! — Niech go nie drażni! — Cheiał krzyknąć na nią. Otworzył usta,—ale zamiast krzyku, wydobył się z nich tylko niejasny szept i jakby szlochanie wstrząsnęło mu piersi. Ogarnęła go wściekłość. Wstał na równe nogi, ale wnet zachwiał się i byłby upadł gdyby nie poręcz łóżka za którą się uchwycił. Nagle jakaś cudna biała twarz mignęła mu przed oczyma, wstrząsnęła duszą, nogi przykuła do ziemi... To jakaś znajoma twarz!... Tak... Ale kto?... Coś go chwyciło za gardło, zaczęło ścisnąć, ścisnąć—włosy mu się zlekka poruszyły na głowie... kto to?—kto to?—Nie może jej poznać... Tarł ręką czoło coraz mocniej—aż do bólu — wydało mu się to zabawne. Uśmiechnął się bezmyślnie... Ale kto to leży?... Ah to przecież jest, to przecież... To zabawne, że on nie poznał odrazu—to bardzo zabawne... Tak... I zaczął kiwać głową niby się śmiejąc, aż nagle zęby zaszczykały mu jak w febrze. Co mu się stało?!... Ah to ona!... Spi czy nie spi?... Czego on się boi?—Pochylił się nad nią trochę.—Chyba spi.—Nie. Oczy niedomknięte...

Jak ona dziwnie patrzy!...

Dla czego ona ma takie szkliste oczy?!—Co się z nim dzieje? — Czemu mu tak włosy wstają na głowie?... Trzęsie się cały... Jej się boi!...

Janko!... wyszeptał wreszcie drżącymi wargami...

— Jaka ona biała... co to za cudowny alabastrowy kolor! Nawet w tem żółtem oświetleniu świec chłodem przejmuję... A te delikatne włoski wokoło iskrzą się złotem na zgięciach tak cudnie...—Dla czego ona mileży?! — Nie poznaje go?!... Gniewa się?!...

— Janko!! — krzyknął nagle i chwycił gwałtownie jej zimną dłoń...

— Zimno ci różyczko moja?... zimno?... — szepnął znowu.—Daj te rączyny... Pocałuj trochę... ogrzeję—tak,—tak... Moja najdroższa, powiedz co ci jest?—Moje ty kochanie najmiłsze — moja je-

dyna—mój skarbie!—Janko! Dlaczego ty nie mówisz, dlaczego nie chcesz na mnie patrzeć, dlaczego, dlaczego?... Przesłał nagle całować jej ręce i podniósł swoją wykrzywioną twarz, dłonią przyciskawszy czoło. Uspokajał się zwolna. Odjął rękę od czoła i rzekł wzruszonym głosem:

— Ah ja ci dzisiaj róż nie przyniosłem... Moja ty jedyna... Zaraz... zaraz je będziesz miała... ja je zostawiłem... zostawiłem... Tu zaciął się i chwilę pasował się z bólem—zostawiłem—bo... musiałem—tak, musiałem—powtórzył przez zaciśnięte zęby i błysnął oczyma—i ty pamiętaj, że... ah nie... nie!... zaraz ci przyniosę, zaraz moja ptaszyno... moja...

Tu szlochanie przerwało mu mowę. Zawyla mu w piersi straszna, bezmierna rozpacz. Znikło mu z przed oczu wszystko — i tylko jakby szara, nieskończona przestrzeń otoczyła go wokoło i wciągała w siebie olbrzymim wyjąłym wichrem.

Chwycił się za głowę, zatoczył się i wtem mgła mu opadła z oczu. Przez obłąkany mózg przeszła mu myśl, że on stąd musi iść koniecznie. Zawrócił ku drzwiom i chwiejnym krokiem wyszedł. Lecz w sąsiednim pokoju otoczyła go ciemność i zatrzymała nagle.

Nie wiedział gdzie idzie. Głowa wachała mu się ociężała na wszystkie strony... Zaśmiał się suchym, urywanym śmiechem, który dziwnie rozbrzmiał w tym ciemnym pokoju — i przeraził nieprzytomnego. Trzeba się spieszyć pomyślał w najwyższej trwodze. — Ja po róże idę, — po róże — powtórzył głośno, i dźwięk jego głosu wydał mu się obcym... Wtem potknął się o próg. Za nim była werenda, a dalej roztaczał się oblany srebrnym światłem ogród.

— Co to?—księżyc świeci?—A ja idę po róże... tak... Teraz... w nocy...

I począł pracować głową nad tą sprzecznością — ale beznadziejne myśli jego rozbiły się, jakby o jakąś nieprzebytą zapórę, więc rzekł wkońcu, jakby wielce uradowany.

— Ona nic nie wie, że będzie miała róże... róże...

I nie mógł zrozumieć, jakie to ona będzie miała róże?

Lecz oto krzew, obsypany różami... — Ah jak te liście srebrne błyszczą w księżycowym świetle... A te kwiaty pokryte rosą... niby brylantami co rzucane po jasnym aksamicie iskrzą się tak cudnie na delikatnych listkach... Co za zapach odurzający... W głowie się odeń kręci... piersi przygniata ciężko... Tak ciężko oddychać... Machinalnie wyciągnął rękę, zerwał jakąś różę i podniósłszy do oczu począł się w nią wpatrywać... Serce mu ścisnęło jakiś głuchy ból... Patrzył na kwiat długo — aż dziwne drgnienia poczuł w piersiach... aż dwie łzy wezbrały mu pod powiekami, potoczyły się po twarzy i upadły na różę, która zadrżała pod ich ciężarem, zakolysała mu się w ręku... Pokiwał głową — usta wykrzywiły mu się do uśmiechu — roztworzył palce — róża upadła na ziemię...

Zaśmiał się nerwowo... krótko...

Nagle owionął go chłód panicznego strachu. Obejrzał się wokoło, zerwał gorączkowo kilka róż i uciekł nie oglądając się wcale.

Przed samą willą stanął. — Jak ta willa dziwnie błyszczy — jasno zielono... i te czerwone okna... Dziwne światło. — Przekrzywił głowę i patrzył uważnie. Wtem doszedł jego uszu przytłumiony płacz, wychodzący jakby z pod ziemi — więc rzucił się do willi i wpadł do pokoju... Ujrzawszy Jankę stanął jak wryty — coś przygwoździło mu nogi do ziemi. Potem zdało mu się nagle, że ona się uśmiecha i dla zabawy przymruga oczu. Twarz poczęła mu drgać, jakby jakaś bezmyślna radość. Podniósł dłoń, zaśmiał się cicho i rzucił różę, które upadły tuż koło głowy Janki i utkwily w złotych jej włoskach, — on zaś stał pochylony ku niej i twarz rozjaśniała mu się coraz większym zachwytem. Nagle wydał jakiś niewyraźny dźwięk radości, rzucił się ku drzwiom i wybiegł. Gdy wrócił, znowu niósł w ręku różę, podszedł szybko — i układał kwiaty w około jej głowy jakby różową jasną aureolę — kilka róż rozsypał w jej włoskach — odchodził — patrzył jak na obraz podczas malowania — zachwycał się, zapalał do swej roboty i biegał po róże coraz namiętniej, rzucał niemi bez rachuby, aż usiał całe łóżko, aż z tej powodzi barwnego kwiecia wychylała się tylko biała jak lilja twarz o cudownych rysach, i słodkim uśmiechu na marmurowo nieruchomej

twarży, aż świeża cudna woń napełniła pokój... I zagłuszał w sobie ustawicznie jakąś głuchą rozpacz i ból, co mu przepełniał piersi — jakies tęskne bezmiernie rozdrażnienie, jakies napady wściekłości... Z nadludzkim wysiłkiem wstrzymywał jęki, co mu się wyrwały z piersi przemocą.

I oto znów przybiegł do różanych krzaków, rwie róże trzęsącymi się rękami i szlochania wyrwywały się mu przez ścisnięte gardło w straszne, urywanym łkaniu... nawpół już świadomem. Nagle mózg mu wstrząsnął jakby błysk piorunu — zrozumiał wszystko i przerażenie ugięło pod nim nogi, a krew uczyniła zimną jaklód — I porwała go fala bezbrzeżnej rozpacz — ścisnął pięściami skronie, rzucił się w obłędzie popod krzaki różane, tarzał się po wilgotnej ziemi, tulił do niej gorącą swoją głowę — kaleczył o kamienie, ranil o ciernie — i jęczał... — I chciałby ją ukryć — zagrzebać w tę ziemię, by nie cierpieć więcej...

I nagle błysnęła mu myśl... — Skoczył na równe nogi — jak szalony pobiegł do domu — wpadł do swojego pokoju — zbliżył się do kuferka, gdzie był rewolwer...

Z całym spokojem odwiódł kurek, przyłożył lufę do skroni...

I wtem z całą jasnością, jaką mają umierający stanęło mu całe życie jego przed oczami. Wspomnił swoje marzenia — swoją podróż — swoją miłość... Zadrżnęła mu w uszach ostatnia prośba umierającej...

Zdrętwiał z przerażenia... Rewolwer wysliznął mu się z dłoni i upadł ze stukiem na podłogę...

On miał żyć! — On!!!

Obłąkanym wzrokiem powiódł wokoło... Przez okno wpadało księżycowe światło na wesoły i uśmiechnięty portret Janki — z różami we włosach... wdali za oknem błyszczało srebrem jezioro — spały w srebrze i we mgle szafirowej góry... Ciemne drzewa szemrały cicho i błyszczały srebrnymi liśćmi...

Piersi poczęły mu wstrząsać jakies konwulsyjne drgania — i nagle usłyszał jak na jawie huczenie po ciągu, zobaczył zarumienioną nieśmiałą twarzyczkę i serdeczny dźwięczny głos mówił do niego z zapałem: — Tacy ludzie jak pan nie powinni się przedstawiać...

Wybuchnął strasznym spazmatycznym śmiechem i śmiał się tak długo, tak namiętnie, aż tarzał się po podłodze, aż głos mu zamarł w piersiach, aż osłabł i ochrypl i wpadł w zupełne odrętwienie.

A w naturze tymczasem panował błogi spokój — księżyc zlewał na ziemię słodkie, senne blaski — tylko pies jakiś nie wiedzieć czemu wyć począł, tylko puszczyk się zaśmiał jakby ze strasznego snu zbudzony — tylko orły na wysokościach zakrakały głucho — tylko matka jakaś co miała syna na wojnie, zerwała się z łóżka i kłękła do modlitwy...

Lecz oto zerwał się nagle potężny wiatr halny co niepowstrzymanym pędem szedł na doliny z gór — zaszumił drzewami, wznosił tumany piasku i rozwał te odgłosy po nieskończonych przestrzeniach...

I znów była w wszechświecie cisza, błogość i spokój — tylko gwiazdek kilka — daleko — w mroźnej nieskończoności, zaczęły mrugać zawzięcie współczując ziemskiemu cierpieniu...

KONIEC.

PO BURZY.

Wiatr przewiał, grom ucichł, przeleciały chmury;

Gdzieś w oddali jeszcze błysnęło przelotem,
I znowu sklepienia przywdziały lazury,
Znowu słońce ziemię osypało złotem.

Cały świat zmartwychwstał. Wietrzyk lekkim
[tchnieniem
Muska łany kłosów w swawolnych powiewach;

Słychać dźwięczne gwary strumienia z strumieniem
[niem
I zielonych liści żywszy szmer po drzewach.

I chór ptactwa wzlata znowu rozśpiewany,
Znowu wabią leśne zapachów ponęty;
Murawy zasłaly stubarwne dywany
Malowane w kwiaty, powite w dyamenty.

Ad. Mielezko.

SIOSTRY NAPOLEONA.

II.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

Chęć upokorzenia Józefiny gorączkowała księżnę Borghese. Usuwana przez nią na plan drugi, chciała z nienawidzoną bratową zetrzeć, zmiażdżyć, o złotaczkę z zazdrości przypawić. Po wielu przeto namysłach i naradach, postanowiła wystąpić, przy pierwszej tej wizycie, z całym przepychem, na jaki stać było książąt Borghese. W największej tajemnicy obstałowała suknię, z zielonego aksamitu, która miała zastąpić poprostu, puzdro od klejnotów domu Borghese. Cała ta szata bowiem, od górnego obrębka do dolnej plisy, pokryta została brylantami. Dyamenty obciążały szyję i ręce młodej kobiety; pod dyamentami chyliła się jej głowa...

Wszystkie klejnoty, jakie książę Kamil Borghese wniósł do intercyzy, przyszyte zostały na suknię lub włożone na obnażony biust Pauliny. Gdy sobie przypomni, iż wizyta odbywała się w dzień, a miała trwać dwadzieścia minut, uderzy nas przedewszystkiem: zły smak i niestosowność tego stroju.

Księżna Borghese innego była zdania. Ubieranie się zajęło jej wiele godzin; cały bowiem sztab kobiet zaufanych, przymocowywał klejnoty na niej; gdy wreszcie opuściła przed wieczorem gotownię, w owym pancerzu, błyszczącym tysiącami iskr, piękność jej, nie brylantami, lecz radością podnieconą, narówni z nimi olśniewała. Obejrzawszy się w zwierciadłach, Paulina nie mogła przemówić, ze wzruszenia i zachwytu nad sobą samą. Jeżeli też istnieje szczyt szczęścia, dostępny dla kobiety próżnej i ograniczonej, dawna Paoletta dosięgała, w tej chwili, z pewnością jego wyżyn. Jakżeż odległymi wydawały jej się czasy marsylskie w których, boso prawie, biegła z garnuszkiem, do towarzystwa dobroczynności, po łyżkę ciepłej strawy. A jednak, upłynęło od nich, kilka lat zaledwo...

Dwór pierwszego konsula znajdował się podówczas w Saint-Cloud. Pomimo tego, Józefina Bonaparte, uprzedzona, przez swych stronników o zaściętości, z jaką księżna Borghese chciała ją zaćmić i bogactwem swem upokorzyć, postanowiła pokrzyżować jej trochę szyki. W tym celu, dowiedziawszy się, iż przyjedzie ona ubrana w suknię ostrozieloną, kazała na przyjęcie jej, obić i umeblować cały salon materyą jaskrawo-niebieską; licząc, iż w ten sposób, za pomocą dwóch, gryzących się ze sobą kolorów, zniweczy cały efekt wystąpienia Pauliny.

Ta myśl niemiłosierna nie wystarczała jej wszakże. Obniżając tryumf siostry swego męża, chciała wzamian podnieść, o ile możności, wdzięk własny; a że słynęła z dobrego smaku, z łatwością jej to więc przyszło. Księżna miała przyjechać obładowana brylantami, jak wystawa jubilerska; Józefina przeciwstawiła jej skromność najlepszego tonu.

Dla kontrastu przeto, przywdziała gładziutką suknię z białego indyjskiego muslinu. Biorąc rozbrat z niedorzeczną i mało przyzwoitą modą, która kazała kobietom ówczesnym wsuwać się w obcisły futerał zamiast sukni, Józefina poleciła muslin swój sfałdować dość obficie i wyszyć na dole w szlak grecki, złotem tkany. Staniczek, także przymarasz-

czony, co stanowiło nowość zupełną, spinały na ramionach dwie głowy złote, czarno emaliowane. Gładki pasek złoty, spinała również głowa lwa. Na obłożonych ramionach i szyi, ani śladu klejnotów; całość tualety na wskroś dystygnowana, a przytem harmonijna i artystyczna.

Co do taniości jej wszakże, musimy rozczerować nasze czytelniczki. Muślin, z którego zrobiona była suknia Józefiny, płacono po 75 franków za łokieć. (Cieniutką tę tkaninę indyjską sprzedawano na sztuczki, z których każda, ośm łokci długa kosztowała sześćset franków).

Przybycie księżnej Borghese do Saint-Cloud, wywołało sensację. Jakkolwiek bowiem wizyta miała się odbyć w dzień, Paulina tak długo się ubierała, iż stanęła na miejscu o 9-ej wieczorem dopiero. Sześciokonną jej karetkę poprzedzał hajduk na koniu. Za pojazdem mknął drugi hajduk, przyczem obaj trzymali zapalone pochodnie. Ta pompa, niebawem od czasów rewolucyi, zdumiewała mieszkańców, tak, że zewsząd otwierano okna, by się lepiej przyjrzeć pojazdowi.

Duma Pauliny rosła, rosła; doszła zaś do szczytu, gdy kamerdyner pierwszego konsula, otworzywszy podwoje salonu, zameldował głośno:

— Jasnie oświecony książę i księżna Borghese!

Lecz tu kończyła się radość. Wszyscy wprawdzie powstał na dźwięk tego tytułu, ale nikt nie ruszył się z miejsca; gospodyni domu bowiem, nie postąpiła ani kroku naprzód, lecz z uprzejmym uśmiechem czekała na przybyłych. Księżna więc musiała przejść sama, wzdłuż, obszernego salonu. Tualeta jej, błyszcząca barwami tęczy, wykazała w ten sposób, całe swe bogactwo i cały zły gust, wołający o pomstę do nieba.

Pomimo tego, wizyta odbyła się jak najlepiej, szwagierki uściślały się serdecznie, a Paulina tak była z siebie i ze świata zadowolona, iż, wyjeżdżając, zaprosiła do powozu swego marszałkową Junot. Upojona jednak własnem bogactwem, zapomniała o prawach, w świecie przyjętych i, zamiast zostawić pierwszeństwo gościowi, wsiadła sama w pierwow do karety, co wywołało zewsząd złośliwe komentarze i uśmiechy.

W kilka dni później młodzi małżonkowie wyjechali do Rzymu, by zamieszkać tu w słynnym pałacu Borghese, wzniesionym przez papieża Pawła V-o.

Powaga wspaniałego tego gmachu nie zaimponowała Paulinie, w której lekkomyślność zaczęła znów brać górę, rzucając ją na pastwę nowych szaleństw i awanturek. Przerwała je śmierć synka jej, małego Dermida Leclerc, chrześniaka Napoleona. Krańcowa natura księżnej, wstrząśnięta stratą tą, wykazała znów wielki zasób szlachetności i egzaltacyi, doprowadzonej do tego stopnia, iż księżna Borghese uparła się pogrzebać swego syna włanemi rękami.

Nie przeszkodziło jej to wszakże, po napadzie bólu, powrócić do dawnych wybryków. A były one tak silne, że nawet pobłażliwość dla złych obyczajów, panująca podówczas we Włoszech, nawet przysłowiowa cierpliwość Kamila Borghese wyczerpana została.

Książę zażądał rozwodu.

Pierwszy konsul, nie przeczuwając, iż sam ucieknie się do niego w imieniu interesów dynastycznych, oburzył się na myśl podobną. „Rozwód“ należał do wyrazów, których dźwięk sam w gniew głuchy go wprawiał. Rosnący wpływ Bonapartego kazał się liczyć z jego wolą; książę oddzielony i odsunięty od swej żony, powstrzymał jednak skargę sądową. Napoleon, w nagrodę, mianował go szefem szwadronu kawalerii, w gwardyi konsularnej, przyczem nie przestał nalegać na zbliżenie się wzajemne małżonków.

Trwało to do ogłoszenia cesarstwa.

Uroczystości koronacyjne zgromadziły całą rodzinę monarszą w Paryżu. Chęć uczestniczenia w nich, kazała księżtwnu Borghese pogodzić się naprzód z sobą. Ze wszystkich Bonapartych, tylko matka rodu, Letycya i Lucyan nie przyjmowali w koronacyi udziału. Lucyan wykluczony został, za małżeństwo z panią Jouberton, dawną swą przyjaciółką, osobą najgorszej opinii. *Madame Mère*, jak ją odtąd nazywano, ujęła się za nim i wyjechała wraz z nowozaślubionymi do Rzymu, stawiając w ten sposób jawny opór Napoleonowi.

Musiąo go to boleć i musiąo być przeciwne pojęciom jego hierarchicznym. Na wielkim bowiem obrazie David'a, przedstawiającym koronację, a umieszczonym w muzeum w Louvre, kazał on matkę swą pomieścić, fałszując w ten sposób poniekąd prawdę historyczną.

Wielka to była i doniosła chwila dla rodziny Bonaparte.

Widzieć, iż papież sam opuszcza Piotrową stolicę — co było faktem w dziejach niesłychanym — by namaścić jednego z nich na pomazańca Bożego, na władcę potężnego kraju, to był fakt, który mógł zawrócić w najpoważniejszych nawet głowach. Poruszył on też, między siostrami i braćmi cesarza, wszystkie złe ambicje, wszystkie uczucia zawiści i niezgody. Napoleon nie miał dzieci; nowa więc konstytucya uznawała za jego następców prawych spadkobierców Józefa i Ludwika Bonaparte. Czyż ten jeden szczegół nie dawał już pola do walki tajemnej a zaciętej?

Po uroczystościach koronacyjnych, księżna Borghese, na wyraźny rozkaz cesarza odjechała wraz z mężem do Rzymu. Wola wyższa spełnioną została, ale tylko pozornie; pogłoski bowiem, o zachowaniu jej, dochodzące do Paryża, były tak niezadawalniające, iż Napoleon zmuszony jest w krótko napisać do niej list następującej treści:

„Pani i droga siostro.

Dowiaduję się, z wielką przykrością, iż nie masz dość taktu i zdrowego rozsądku, aby zastosować się do obyczajów i zwyczajów przyjętych w Rzymie; że okazujesz pogardliwe lekceważenie jego mieszkańców, zwracając oczy swe ciągle ku Paryżowi. Jakkolwiek więc, zajęty jestem w tej chwili ważnemi sprawami, niemniej postanowiłem: zawiadomić cię własnoręcznie o życzeniach mych i zapatrywaniach, pewny, że raczysz się pani do nich zastosować.

Oto moja wola:

Kochaj twego męża i twoją rodzinę, jednak sobie wszystkich uprzejmością i naginaj się do panujących zwyczajów, bo Rzym ma prawo tego po tobie wymagać. Zanotuj sobie przytem w pamięci, że jeżeli w wieku do jakiego dziś doszłaś, będziesz jeszcze ulegała złym radom, natenczas nie możesz, liczyć na mnie zupełnie.

Co do Paryża, bądź pewną, iż nie znajdziesz w nim żadnego oparcia, i że nie przyjmę cię w murach jego nigdy inaczej, jak razem z mężem. Gdybyś się z nim poróżniła, będę to uważał za twoją wyłącznie winę i zakazę ci nazawsze wstępu do Francyi.

Straciłabyś w takim razie: własne szczęście i moją życzliwość“ *).

List ten treściwy, iście ojcowski, a nawskroś prawy i uczciwy, przesłany został przez cesarza na ręce kardynała Fesch, który otrzymał przytem, następującą specjalną instrukcję:

„Panie kardynale.

Łączę pod twym adresem list do pani Paulette'y. Przykro mi niezmiernie, iż pani Borghese nie chce czy nie może zrozumieć, jak ważnem jest dla jej szczęścia i spokoju, zastosowanie się do poglądów, panujących w Rzymie, oraz zjednanie sobie jego mieszkańców. Szacunek i uznanie tego wielkiego miasta, powinnyby stać się słodką nagrodą dla serca istoty, tak dobrze jak ona urodzonej. (W oryginale: *un coeur aussi bien né, que le sien*). W każdym razie zawiadamiam ją w sposób wyraźny i stanowczy, o nieodwołalnych mych życzeniach. Mam nadzieję, że się do nich zastosuje, oraz, że przybycie matki dostarczy jej rad zdrowych, a bardzo dla niej korzystnych. Powiedz jej pan jeszcze, w mem imieniu, że nie jest już dziś piękną, że uroda jej będzie obecnie przechodzić i niknąć z każdym rokiem; czas więc by miejsce jej zajęła dobroć i szacunek ogólny, na który powinna była i obowiązana jest pracować całe życie. Niech weźmie za zadanie swe, zjednanie sobie rodziny męża i wszystkich wybitnych osobistości Rzymu; niech w kołach towarzyskich stolicy zaprowadzi i utwali ton godny wysokiego stanowiska, do jakiego powołana została; niech nie przybiera niewybrednych manier i nie

łączy się ze sferami lekkomyślnymi, źle widzianymi przez ludzi dobrze myślących, a rzeczywiście wykwintnych.“

Dwa te listy malują wybornie stosunek cesarza do siostr i wpływ szlachetny, jaki starał się zawsze na nie wywierać.

Księżna Borghese, skorzystała z tego mieszania się w prywatne jej życie i, skoro brat zakazywał jej bawić się w wietrznice, postanowiła wzamian żądać roli politycznej do odegrania.

Sposobność po temu wkrótce się nastąpiła.

Eliza, najstarsza z siostr zamianowana została przez cesarza, księżną Piombino. Paulina więc i Karolina przypuściły szturm istny, aby Napoleon i dla nich uczynił cośkolwiek. Życzeniu ich stało się zadość. D. 30 marca, 1806 r. Senat otrzymał cały szereg dekretów, które wywołały istną sensację we Francyi i w Europie.

Pierwszy z nich wyjaśniał stan cywilny domu monarszego, oraz określał obowiązki książąt i księżniczek, względem cesarza. Drugi przyznawał zwierzchnictwo księstw Bergu i Kliwii, Murat'owi, szwagrowi Napoleona. Trzeci, podnosił miasteczko Guastalla, do godności księztwa i obdarzał niem: Paulinę Borghese. Mąż jej miał odtąd nosić tytuł: księcia Guastalla, przyczem terytorjum całe, w razie bezpotomnej jego śmierci, przechodziło na powrót pod rozporządzenie cesarza.

Paulina, zostawszy księżną panującą, nie posiadała się z radości. Gdy jednak objaśniono ją, iż owo Guastalla jest niedużem miasteczkiem, mieszczącym się w księstwie Parmy, popłynęły z oczu jej, nowe łez potoki.

— Annuncyate,—wołała wśród szlochów,—zrobię wielką księżną Bergu i Kliwii, dałes jej dwa państwa, prawdziwe państwa, z ministrami i wojskiem. A ja, ja, starsza od niej, mam dostać nędzną mięscinę, po której uwija się nierogaczyna? Dziękuję, pięknie dziękuję! *).

I nowy wybuch płaczu.

Aby żyte ukoić, Napoleon rzuca obietnicę dalszych zaszczytów i, w rzeczy samej, później nieco, wydaje dekret, mianujący męża jej wielkorządcą kraju zaalpejskiego. Była to jedna z najwyższych godności cesarstwa.

Wkrótce, książę Borghese zostaje szefem drugiego pułku karabinierów, a Napoleon próbuje wysunąć go koniecznie na widownię polityczną. Sprzeciwiają się wszakże jego planom: brak inteligencyi ze strony męża i ciągle wybryki lekkomyślne żony.

Wogóle, księstwo Guastalla spędzają teraz cały czas we Francyi. D. 21 września, 1807 r. dwór Napoleona, należący w danej chwili do najświetniejszych w Europie, przenosi się do Fontainebleau. Wśród gości zaproszonych do towarzyszenia parze monarszej, figurują: Hortensya, królowa Holandyi: *Madame-Mère*, wielcyksięstwo Badenu, książę prymas, wielki książę na Würtzburgu, dwaj książęta Mecklenburscy, książę Saxen-Koburgski, ministrowie cesarstwa i Włoch, książę Benewentu, księstwo Guastalla, i inni.

Ponieważ etykieta układała tu wszystko z góry, u każdej więc z siostr miał się odbyć co tydzień bal wielki; raz na tydzień również przyjmowali u siebie cesarstwo. Reszta czasu pozostawiona była na zabawy improwizowane, programem z góry nieobjęte.

Pięknością i bogactwem wiodła w nich rej Paulina Borghese, która, przyciągając wszelkimi środkami cesarza, wykluczała zawsze ze swych rozrywek: Józefinę. Zarzucono jej, że toleruje i osłania nazwiskiem swem miłostki Napoleona, że, dla dokuczenia bratowej, zaznaja ją u siebie z najpiękniejszymi kobietami.

Wśród zabaw więc i strojów, wrzała ciągle w rodzinie cesarskiej, zacięta, a głucha walka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*) *Correspondance de Napoléon I-er, t. IX, pièce 7674, à la princesse Borghése, Paris, 6 Avril, 1806. Cyt. u Turquan'a, str. 209.*

*) Turquan, str. 211.

Kazimierz Gliński.

„PLON NIESIEM.”

Komedia w 2 aktach.

(Dalszy ciąg).

AKT DRUGI.

(Salon—troje drzwi, środkowe otwarte prowadzą na dziedziniec. W głębi widać zabudowania gospodarskie i szmat pola z lasem na skraju. Zygmunt chodzi wzdłuż pokoju z założonemi na tył rękami, w jednej z nich mnie czapkę jakimś niespokojnym ruchem).

Zygmunt (po chwili). Nie rozumiem!... Zniechęcenie, obojętność, jakieś dąsy, coś, czego nigdy jeszcze nie było... Ani uśmiechu, ani wesołości dawnej, niedowierzania, półśłówka niezrozumiałe... A czy ja wiem co to?

(Środkowemi drzwiami wchodzi Karolina w kapeluszu na głowie. Zygmunt ciska czapkę o stół).

Nie nie rozumiem!

Karolina. Czego pan nie rozumiesz, panie Zygmuncie?...

Zygmunt. A—to pan!... Nie—myślałem o tem, to o owem i kilka zagadek (a czy mało ich jest w życiu) stanęło nierozwiązanych przede mną.

Karolina. Może ja panu pomocą będę w ich rozwikłaniu—

Zygmunt. Poczytuję sobie za punkt honoru samemu dokonywać prac podobnych.

Karolina (zdejmuje kapelusz). Ach, jaki dzień cudowny, jak ta wieś jest rozkoszną!... Przypatrzysz się jej bliżej i życiu jakie tu państwo pędzicie, nie dziwię się teraz, że można się w niem rozkochać na zabój.

Zygmunt (z odcieniem zdziwienia). Doprawdy?...

Karolina (siadając). O, tak!...

Zygmunt. Pani—i wieś!

Karolina. Nie znałam jej dotąd, a jeżeli znałam to z opowiadań zapalonych gospodarzy, albo z poetycznych opisów tylko. Poetom, jako ludziom o zbyt bójnej fantazyi, nie zupełnie mi się wierzyć chciało, dawałam większą wiarę prozie pierwszych, a to wcale nęcące nie było. Ekonomskie zajęcia, ujadanie się z chłopstwem, praca od świtu do zmroku, mierzenie, ważenie, a do tego gradobicia, brak cen, kłopoty codzienne, myśl zajęta tylko owsem, rzepakiem i jęczmieniem, ta monotonia cała nieprzerwanych zajęć i kłopotów jednostajnych: to obraz smutny, szaremi malowany barwami, z którego nie przebijała żadna myśl głębsza, żadna podnioslejsza idea. Tymczasem...

Zygmunt (j. n.). Tym czasem?

Karolina. Jest cel, piękno, szeroki horyzont prac...

Zygmunt. To pani mówi?

Karolina. Dziś wstałam weześnie, niż zwykle; wstałam nawet, wbrew swojemu zwyczajowi, bardzo rano, ku czemu posłużył mi nie nie znaczący na pozór wypadek: mała szparka w okienicy, przez którą wcisnął się złoty promyk słońca i spać mi już nie pozwolił. Daremno odwracałam senną głowę, daremno dłonią twarz osłaniałam—jasna strzałka podważała mi źrenice i jak kochanek natrętny zacierzała wciąż w oczy. A tu jakieś ciche, dalekie głosy odzywały się zaczęły: widocznie budził się świat ptaszęcy i światogłówny gwarem wypełniał powietrze! Musiał wchodzić słońce, przez tyłu poetów opisywane, niewidziane przeze mnie w całym blasku swego zejścia. Zerwałam się z pościeli tak szybko i cicho, że Leon nawet nie nie słyszał: ubrałam się jeszcze szybciej i wybiegłam za próg pańskiego domu. Nie wiem, co zrobiło się ze mną, lecz stanęłam zdumiona: wchodziło słońce, do koła brzmiał chorał ptaszków,—owiato mnie technienie

poranku, nieznane dotąd, ożywcze technienie. Aż oto z dalekich pól doleciał do mnie brzęk sierpów i pieśń poranna. Zwróciłam w te strony oczy: rośnię łan cały od pańskich żniwiarzy, kładły się snopy przeniczone poranną rosą, jak perłami, ubrane. Jak senna wyszłam z podwórza... Co mi tam wiadło, nie wiem: może szelest chylących się kłosów, może skowronka śpiew, może—prowadziła mnie tam... myśl pana. Zazdroszczę dziś Rózi tej ciszy, tego spokoju wsi... (Zygmunt siada—Karolina zwraca się ku niemu). Pan usiadł tak ciężko.

Zygmunt. Mów pani dalej!

Karolina. Stałam na łanie i—użyłam snopków kilka... Po chwili głos mój złączył się ze śpiewającym chórem, potem zrozumiałam... wszystko—i—nie dziwię się, że pan tak wieś kochasz a Rozalka jest wiernem echem pana. (Zygmunt wstaje i zaczyna przechadzać się szybko, Karolina tłumy uśmiech, po chwili). Co panu jest, panie Zygmuncie?

Zygmunt. Nie—zdziwiła mnie tylko ta nagła miłość pani do wsi.

Karolina (wstając). Nie—tu nie tylko o wieś chodzi, lecz o zrozumianą już dobrze przeze mnie myśl takiego włodarza, jakim pan jesteś. Życie—to nie balowa sala, inna jego jest wartość, inne być musi jego zadanie, niż—dotąd myślałam. Nie dziw się Rozalii, że ona tu świat cały widzi.

(Zygmunt zatrzymuje się i patrzy na Karolinę, która z ironicznym uśmiechem odwraca się od niego i podchodzi do okna).

Zygmunt (wpół do siebie). Co to wszystko znaczy?

Karolina (przy oknie). Ach, jaki ranek rozkoszny!... (wyciąga ręce przez okno) jak te promienie słońca zdają się mnie tulić, pieścić, takie miękkie, ciepłe, uzdrawiające!...

(Wchodzi Rozalja w kapeluszu).

Rozalja (zdejmuje kapelusz). Nieznośny upał!... to słońce zdaje się, że mózg mi przepali, a bez rękawiczek będę mogła zupełnie się obejść. (Patrzy na ręce). Jak u Maryśki!

Karolina. A—Rozalka!

Rozalja. Dzień dobry ci, Linko!

(Całują się—Zygmunt stoi na uboczu).

Karolina. Narzekasz na gorąco a ja przed chwilą tak się niem rozkoszowałam.

Rozalja. Mówią, że i wino szampańskie jest dobre, ale użyte nad miarę—nudzi...

Karolina (pół szeptem). E—rozmarza, ja wiem co o tem!...

Rozalja. Siadaj!

Karolina. Znużoną jesteś?

Rozalja. Rozkoszami wsi... (Zygmunt porusza się—Rozalja zwraca się ku niemu). A—to ty? (obojętnie). Dzień dobry ci, Zygmunciel...

(Zygmunt całuje ją w rękę i siada opodal)

Karolina. Jesteś jak gdyby niewyspana, Rozalko!

Rozalja. Głowa mię straszliwie boli, a zresztą trochę znużona jestem.

Zygmunt. Znużona?

Rozalja. Cóż się tak dziwisz, Zygmuncie?

Zygmunt. Nie skarżyłaś się dotąd na ból głowy, a—znużenie się twoje jest dla mnie zupełną niespodzianką.

Rozalja. Dla tego, że nigdy nie wspominałam ci o tem?

Zygmunt. Nudzić się może ten, kto niema żadnych określonych i nie wie sam, co z czasem swoim zrobić. Ty, zdaje mi się, miałaś dotąd życie po brzegi wypełnione.

Rozalja. To też już się przelewać zaczyna.

Karolina (szeptem do Rozalji). Doskonale!

Rozalja. Czy dawno już, jak wstałaś, Linko?

Karolina. Wyobraź sobie, tylko wyobraź sobie i dziw się! Wstałam razem ze słońcem, poszłam w pole i ze dwa snopy zboża użęłam.

Rozalja. Prawda, że miłe zajęcia?

Karolina. Podobało mi się to jednak... Wieś, doprawdy, ma wielki urok.

Rozalja. Szczególnie dla ciebie, którą zajęła, jako nowość. Ale—dla mnie naprzykład—to już wszystko jest takie powszednie, tak okrutnie pospolite! Dzień każdy podobny do siebie, jak krople wody, wiecznie jedno i to samo dziś, jutro, poju-

trze, żadnej niespodzianki, żadnej rozrywki, która by jakkolwiek wyłom w tej jednostajności bezbarwnego życia zrobiła. Zygmunt po całych dniach na polu, oblicza kopy, spisuje robotników, ja zajęta swym domowym, bardzo przyjemnym gospodarstwem koło kur, gęsi, kaczek i tak ciągle. Żadnego towarzystwa, jak wiesz—to takie miłe! Na rok, dwa wystarczyć może—

Zygmunt. Wystarczało jednak wciąż lat ośmiu.

Rozalja. A z kąd ty wiesz, że wystarczało?

Zygmunt. Nie skarżyłaś się.

Rozalja. Aaal... dla tego!...

Zygmunt. Byłaś wesoła, uśmiechnięta—

Rozalja. Przez łzy.

Zygmunt (porywczo). Przecie nie odgrywaliśmy między sobą komedyi.

Rozalja (prawie szeptem). Lecz cichy dramat snuł się może (wstaje).

Zygmunt (przysuwa się szybko i bierze ją za rękę). Przepraszam ciebie, Róziu!... Czyśmy się nie rozumieli dotąd?

Karolina (wstając). Widocznie!

Zygmunt (nie puszczaając ręki Rozalji). Ja zauważyłem, że...

Rozalja. Że co?

Zygmunt. Że jesteś dziś inną, niż byś była dni kilka temu—

Rozalja. Na pozór tylko—bo...

Zygmunt. Bo?

Karolina (przechodząc koło Rozalji). Śmiało!...

Rozalja. Gorycz życia od dawna zalewała mą duszę.

Zygmunt (puszczając jej rękę). Gorycz życia?

Rozalja (z uporem). Tak!

Zygmunt. Czy ty naprawdę to mówisz?

Rozalja. Na prawdę... Tak-tak!

Karolina. No, nie rób pan dramatycznej miny, panie Zygmuncie—to przejdzie...

Rozalja (stojąc odwrócona). Nie—nie przejdzie!

Karolina. Rozdrażniona jesteś, moja Rozalko! (do Zygmunta). Być może, że żonę pańską znużyła trochę jednostajność sielskich przyjemności; ja na tem się nie znam, ale, doprawdy, może tutaj i niema tak bardzo co robić.

Zygmunt. Zdaje mi się, żeśmy o tem z żoną moją przegadali dostatecznie, żeśmy się zrozumieli dobrze i wytknęliśmy jasną drogę obowiązków i pracy. Ideały nasze były wspólne, zadań do spełnienia nie mało, cel życia zbyt podniosły, ażeby go można było tak lekko nogą kopnąć.

Rozalja. Ach, wiem—wiem, o czem już chcesz mówić.

Zygmunt (z czułością). Rozalko!... (ujmuje obie ręce i przytula do czoła. Rozalja rozrzucona podnosi wzrok na męża, Karolina podchodzi szybko).

Karolina (szeptem). Nie poddawaj się!

Rozalja (wyrrywając się z objęć Zygmunta). Ty mnie nie a nie nie kochasz!

Zygmunt (zdziwiony). Ja nie kocham?

Rozalja (przykładając chustkę do oczu). Tak!

Zygmunt. Od kiedy ty tego przekonania nabrała?

Rozalja (j. w.). Od dawna!

(Zygmunt zaczyna się śmiać).

Karolina (do Rozalji). Ten śmiech jest niegodziwy!

Rozalja (odejmując chustkę od oczu). I czego ty się śmiejesz?

Zygmunt. Bo to mi się zdaje jakaś mistyfikacja, albo... ktoś z nas z dwojga fiksacyi dostał?

Rozalja (wrażona). Nie ja.

Zygmunt (z goryczą). Być może.

Rozalja. Nie być może, tylko tak jest!

Zygmunt (przechadza się, śmiejąc się). Nie przeczę—nie przeczę!

Rozalja (do Karoliny). Linko—może ja za gorąco wystąpiłam—

Karolina. Nie—nie... Nie zawadziłoby ostrzej nawet.

Zygmunt (chodząc). Nie nie rozumiem, nie nie rozumiem!...

Rozalja (do Karoliny). Mów ty za mnie, bo ja wszystko popłatać gotowa.

Karolina. Już to panu powiem szczerze, panie Zygmuncie, że pan zanadto swojej wzniosłej oddawszy się idei, zapomniałeś trochę o prawach przynależnych młodej kobiecie i zamknąłeś przed nią świat, w którym była urodzona, o którym zapomnieć

nie może, do którego tęsknić musi. (Do Rozalji *szepem*). Czy dobrze?

Rozalja (przez lzy). Dobrze!

Karolina. Zasklepiłeś się pan w myśli swojej, sądząc, że każdemu wystarczyć powinna; ale świat przecie nie kończy się na Kopkach, daleko, mój panie się rozciąga, daleko; nie każdy zresztą jest stworzony na anachoretę, są zewnątrz nas rozmaite potrzeby i czary, do których zbliżyć się każdym ustoić wolno, czującym potrzebę tego ożywczego napoju.

Rozalja. Tak—tak!

Zygmunt. Do czego pani zmierzasz?

Karolina. Do tego, że rozumiem bardzo dobrze dzisiejsze usposobienie Rozalki—a jeżeli mnie wieś zachwyciła, to nie jest miarą czyichś innych zachwytów. Rozalka jest młodszą odemnie i więcej może ode mnie ma praw do różnych przyjemności życia. Żyjąc tu, z panem, widząc przed sobą tylko pana, słysząc jedne i te same wyrazy, jak szczygiełek przyzwyczaiła się do nich a podrastające skrzydełka coraz bardziej traciły swą lotność, widnokrąg się zacieśniał i już nie widziała za ścianami swej klatki, biorąc jęczmienne ziarno, przez pana jej podawane, za pokarm najwybredniejszy.

Rozalja. Tak—tak!

Karolina. Opłatałeś pan jej wieśniacze serduszek siatką dziwacznych idei...

Zygmunt. Dziwacznych?

Rozalja (robiąc krok naprzód). No—nie...

Karolina (do niej). Cicho bądź!... (głośno). Jeżeli nie dziwacznych, to — niewykonalnych, jeżeli wykonalnych—to dla czego tylko ona ma się oddać im cała, poświęcić się, zaprzeć się rozkoszy, jakie świat daje, do których niezaprzeczone ma prawo przecie?

Rozalja. Mam—mam—

Karolina. Żyjąc w tem wiejskim zaciszu, znała tylko zapach fiołków, lecz oto z wypadkowem przybyciem mojem powiał ku niej odurzający zapach róż i tych kwiatów, jakimi oddychają piersi szczęśliwszych od niej istot—i rozbudziło się naturalne pragnienie szczęścia, pragnienie tak szczerze pilnowane przez pana, nie zaspokojone—lecz... tłumione!

Rozalja (szarpiąc chusteczkę). To niegodziwość!

Karolina (z patosem). To zbrodnia!...

Zygmunt. Co? co? co?

Rozalja (podchodząc). Tak, tak, tak, — nie spodziewałam się tego po tobie!

Karolina. Ona wyjechać ztąd musi.

Rozalja. Muszę.

Karolina. Zabiorę ją z sobą na miesiąc, dwa—

Rozalja. Zabieraj, zabieraj!

Karolina. Niech odpocznie, odetchnie trochę...

Rozalja. Odpocznie, odetchnie—

Karolina. Więc jedziesz ze mną?

Rozalja. Jadę, Linko—jadę—nieodwołalnie jadę!

Karolina. Zatem zabieram ciebie choćby dzisiaj.

Rozalja. Dzisiaj—zaraz!

Zygmunt. Zwolna!... a moje pozwolenie?

Rozalja (stając nagle). Co?

Karolina (do Rozalji). Wyłazi szydło z worka.

Zygmunt (powoli). Zdaje mi się, że i moje słowko coś tu znaczyć może (z wzrastającym rozdrażnieniem) i moja wola zaważyć coś na szali niewieściej fantazyi potrafi. (Z mocą). Tak czy nie?

Karolina (do Rozalji). Odpowiedz stosownie!

Rozalja (do Karoliny). Poczeka—niech się nabiorę!...

Zygmunt. I jak się tobie wydaje?

Rozalja. Mnie się wydaje, że nie powinienes zapominać o danem mi przyrzeczeniu w dniu ślubu a powtórzonem temu dni parę.

Zygmunt. A! chcesz korzystać z mej dobrej wiary.

Karolina. Niel tylko ufa słowu pańskiemu, które przecie jest twarde, jak mur.

Zygmunt (ciszej). Zona moja może zeń nie skorzystać.

Karolina (do Rozalji). Mów: skorzystam!

Rozalja. Skorzystam!

Zygmunt. Więc zawód!... W najpiękniejszych marzeniach moich—zawód! (Siada—nagle wstaje). Rozalko!...

(Rozalja zwraca się — Karolina podchodzi do niej).

Karolina. Ni krzty słabości!...

Rozalja. Mówiłeś coś do mnie?

Zygmunt. Przypominałem słowa własne, dające ci wszelką swobodę, lecz wolno mi też przypomnieć jeszcze...

Rozalja (przykładając dłonie do uszu). Ach, wiem—wiem! znów w uszach mi dzwonić będą wszystkie świętości obowiązków obywatelskich.

Zygmunt (stoi czas pewien boleśnie dotknięty, po chwili, z mocą). Masz wolność zupełną czynów!

(Rozalja wychodzi—Karolina patrzy z tryumfem na Zygmunta).

Karolina (po chwili). I cóż, panie Zygmunce?... Różia lepszą jest żoną, niżbym ja nią była; Różia wbrew woli pańskiej nie postąpiłaby nigdy, podbiła ją wzniosłość idei i przeniewierstwo względem niej jest od niej tak dalekie, jak nasze dawne, gorące uczucia.

Zygmunt. Więc to jest dzieło pani?

Karolina (kłaniając się). To—zemsta moja!

(Wychodzi).

(Dalszy ciąg nastąpi).

WSPOMNIENIA Z LAT. SOBOTY.

(Dalszy ciąg).

Przemysł nie śpi także, wnosząc z dymów wnoszących się z kominów fabrycznych nieopodal miasta, a przy stacyi kolei widzi się fabrykę okrętów, i jeden z olbrzymów będący na ukończeniu zaciekawiają nieobeznanych z tego rodzaju budowlą.

Opuszczając Gdańsk patrzyłam z wagonu na ów wykończający się okręt i byłabym się zamyśliła na temat losów, jakie go w przyszłości czekają, gdy wypłynie na pełne morze... ale pociąg ruszył... obruciłam ostatniem spojrzeniem Gdańsk.

Pociąg pędem pary zbliżał mię do celu podróży, znużenie mię ogarniało i oko przymknęło. Wtem doleciał mię głos ostry „Kein Ausgang“ i pociąg się zatrzymał...

Był to pierwszy przystanek Langfur, a woźny kolejowy w ten sposób zawracał pasażera, który niewłaściwą stroną chciał wejść na platformę. Minełszy prędko Langfur czyste, świeże jak z igły miasteczko, pełne zieleni, której dostarcza i Hammer Park i widniejące lasy i otoczenie każdej niemal willi skromnie ukrytej wśród drzew i kwiatów, a zazdrośnem okiem spoglądającej na morze, by nowa jaka sąsiadka tej największej przynęty dla gości nie zabrała.

Z Langfur biegł pociąg ciągle śliczną drogą, na lewo siniało zdala morze, na prawo zieleniały wzgórza lasem pokryte. Jeszcze miałam w uszach „Kein Ausgang“ (nie ma wyjścia), które, budząc z zadumy, dziwnym dreszczem mię przejęło, gdy pociąg stanął już po raz drugi—była to Oliwa.

Spragniona zawsze wrażeń, jakich dostarcza piękna natura i historyczne pomniki, mając tu w zjednoczeniu jedno i drugie, pośpieszyłam zwiedzić dawne Opactwo cystersów.

Czyściutkiem, jak tu wszystkie miasteczkiem, wyborną drogą ponad parkiem miejskim doszłam do wzgórza, gdzie stoi klasztor. Kościół olbrzymi zdobny w pyszne rzeźby, dobrze zachowane obrazy i nagrobki; większość zabytków odnosi się do naszych dziejów. W korytarzu klasztornym spotykamy na prawo dawny bardzo oryginalny refektarz, w którym odbywały się ważne narady, podczas polsko szwedzkiej wojny; ściany pokryte starożytnymi malowidłami, filary podtrzymują sufit. Z lewej strony korytarza kapliczka w formie kopuły, w której umieszczoną była oliwa przywieziona z ziemi świętej, od której poszła nazwa miejscowości. Dalej trochę na lewo w widnej sklepionej izbie umieszczony stół, na którym, podpisany był akt zawarte-

go pokoju przez Jana Kazimierza ze szwedami w 1660 roku, na pamiątkę tego faktu wmurowana jest tablica nad stołem, a na ścianie obraz, na którym dwie ręce trzymają gałązkę oliwną, wyobraża symboliczne znaczenie zgody.

Tak kościół jak i klasztor bardzo jest starannie zachowany i z wzorową czystością utrzymany, za zwiedzenie płaci się 20 fenigów, od osoby. Tuż za Oliwą góra Karlsberg, z wieży na niej pyszny widok. Omnibusy przewożą z klasztoru na górę i z powrotem, a i o wynajęcie oddzielnego powozu bardzo jest łatwo.

Z Oliwy w parę minut koleją dostałam się do celu podróży do Sobot (dawna wieś Sobótka).

Miejscowość to obecnie bardzo uczęszczana i słusnie, gdyż znakomicie nadaje się na stację klimatyczną, mając takie warunki jak wzgórza, lasy i do tego—morze. Willi, do odnalezienia jest tu moc wielka, począwszy od bardzo wykwintnych, pysznie ustrojonych w zieleni i kwiaty, aż do zupełnie skromnych, z których jedna ma bezpretensjonalny, a wdzięczny napis „Klein aber mein“ (mała ale moja) przypominający bajkę Krasickiego.

Począwszy od dworca kolei, położonego między lasem a morzem, biegną wzdłuż i wszczególnie dość uliczki, aż ku morzu, z których ostatnią oddziela od morza bardzo cienisty park wązkim pasem ponad plażą idący i dopiero w północnej części rozszerzający się w prawdziwy park, bardzo mało uczęszczany, chociaż wśród młodych drzew jakie tu rosną dużo jest słońca i świeżego powietrza; które natomiast po wązkich bardzo uliczkach psują zapachy kuchenne z gęsto zabudowanych domów wychodzące.

Wyjątek stanowi Nord Strasse szersza, od innych mniej zabudowana, mająca wiele pięknych willi ale po lewej tylko stronie. W jednej z nich wprost Kurhausu znajduje się Pensjonat pani z Chmielewskich Deichel. Na prawo od Kurhausu idąc parkiem o parę minut drogi tuż nad morzem spotykamy „Dom Polski“ pana Kolerskiego także z pensjonatem.

W obu tych domach zbiera się i skupia towarzystwo polskie, życia i gwaru pełno i tu i tam.

Z wielu względów brała mię pokusa uloko wać się w jednym z tych domów, ale ponieważ żaden z nich nie posiada pięknego widoku, a ten jest niezbędnym, dla mnie przykuracyi, przebiegałam wzdłuż i wszczególnie Soboty szukając mieszkania, któreby mi przypadło do smaku.

Zadanie było trudne i trzeba być tylko takim piechurem, jak ja, by mu podołać, bo dorózek nie ma w Sobotach, mieszkań zaś moc, na każdym niemal domu karta oznajmia że są, pokoje do wynajęcia; mijałam jednak przepiękne nawet domy, nie wchodziłam obejrzeć mieszkań, bo nie o meble mi chodziło, a głównie o to co się widzi z okna. Znalazłam też w końcu wymarzone warunki w willi Miramare, wysuniętej najbardziej nad morze, oddzielonej od całych Sobót przesłiznie utrzymanym ogródkiem; darmo trudziłby się, ktoby chciał tu znaleźć listek suchy na ścieżce. Jak w ogródku tak i w całej willi ład, porządek i czystość idealna, spokój i swoboda zupełna. Raz jeszcze powiadam wymarzone warunki kuracyi.

To też parę tygodni przeszło jak sen, przebyte w milej Miramare. a wszystko się na to składało.

Przepiękne otoczenie, pożywienie obfite i wykwintne, usługa doskonała, dbałość gospodarzy o wygodę gości, dobry rozkład mieszkań, wygodne ich urządzenie, towarzystwo dystygowane z różnych stron przybyłe, niektórzy z bardzo daleka, bo aż ze stanu Missouri z Saint Louis były dwie uroczne Amerykanki Miss M.

Na prawo wśród grupy gór porozrzucane wille, między zielonością z najdalszego punktu górowała wieżyczka z zamku na Karlsbergu pod Oliwą, wprost w dali port Neufahrwasser, bliżej plaża na której wrzało życie rybackie, tuż pod oknem nasz ogródek istne pieściółko, wychuchane, a na prawo—morze, a to jedno piękniejsze nad wszystko.

Miramare zajmuje środek półkola jakim Soboty wchodzi w morze. Wyszedszy z ogródka na plażę mamy na szerokość, dajmy na to Berga ulicy w Warszawie, morze przed sobą i podziwiać możemy najpiękniejszy widok jaki jest w samych Sobotach, tak dalece urozmaicony, że przedstawia nieskończoną ilość tematów dla malarza, a przytem tak dostępny,

siedząc bowiem na ławkach, w tym celu tuż przy ogródku postawionych, lub też w koszach w formie foteli z budką, można go podziwiać nawet w samo południe lub podczas deszczu.

O każdej porze dnia i nocy obserwując morze, nigdy mu się dość napatrzyć nie można, takim zmianom ulega i koloryst i powierzchnia jego.

Wstajesz, lecis do okna, porozsuwasz firanki, z ciekawości drżą ci ręce i patrzysz i podziwiasz, bo oto wczoraj burzliwe rozkapryszony na wieczór, teraz rano cichutkie ledwie mruceży trochę jakby z żalu, że się ze snu budzić musi, i niby srebrzysta gaza rozciągnięta jak okiem przejrzyć, mrużąc ku słońcu zlekka, wabi drżeniem fal, ale tak jakoś nieśmiało potulnie, niby niewiniątko.

Za chwilę, piętrzą się fale, z bałasem pędzi piana biała, aż ku wybrzeżom, których jednak nie uważa za równą sobie potęgę i zostawia w spokoju, pozostawiając rzekom i małym strumykom wkraczanie w nieswoje granice, by dały ludziom przedsmak siły olbrzyma zanim się z niem same zjednoczą tracąc moc i samodzielność swoją. Bawią się też dzieci rybackie w spokojnym wybrzeżu, przeskakują śmiało pędzące fale; a złote ich główki, różowe buziaki, jędrne pełne ciała, śnieżna piana i mieniące się barwną opali, szafirów i szmaragdów morze, ślicznie tworzą obraz w słońcu, na tle którego bują zbliżka różnobarwne łodzie spacerowe, prują fale w dali okręty i statki parowe, a na krańcach jak okiem dojrzyć zarysowuje się nieraz punkcik czarny. Dojrzało go tęskne oko matki, żony lub narzeczonej i serce zabiło radośniej. To rybak wraca z nocej wyprawy i wiezie połów na wyżywienie biednej rodziny.

Wraca! a mógł nie wrócić—myśl ta zbójcka wciskała się do mózgu oczekujących kobiet na brzegu, i ostrzem miecza wpijała się w serce!... aż oto ten punkcik czarny rozjaśnił ich dusze!..

Ileż myśli wysnuć można na ten temat!..

Nie zapomnę nigdy, jakim głosem zawołał stojący przy mnie stary rybak, który po burzy oczekiwał długo na powrót syna Paol komt! i to wtedy, gdy ja jeszcze nie dojrzyć nie mogłam, a jego stare oczy zobaczyły; rzeczywiście wkrótce okazał się czarny punkcik, a był tak daleko, że za parę godzin dopiero zjawiała się u brzegu czarna łódka Pawła Binke, młodego, rybaka, o ogorzałej twarzy, bujnych kędziurach, z niezwykle inteligentnym wyrazem twarzy. Cała postawa zdradzała śmiałość i odwagę, której nabyć musiał w swoim zawodzie, w którym nieraz śmierci zaglądał w oczy, a całą siłą musiał się jej wymykać, bo miał narzeczoną, którą kochał bardzo i czekał tylko by mógł tyle uzbierać z połowu iżby się mógł z nią połączyć. Nie zawsze jednakowoż bywa zarobek rybaków, czasem mają bardzo mało; połów śledzi bywa korzystniejszy, najlepszy dochód obliczają na 40 marek dziennie. Zwykle około trzeciej po południu wychodzą kobiety dzieci i starzy na brzeg, gdyż o tej porze wracają rybacy, wpływają zaś na morze około północy.

Pod wieczór rozkołysze się tak zwykle morze, że fale biją coraz silniej, szum bywa coraz głośniejszy, a słońce chowa się bardzo prędko i morze ciemną otchłanią zdaje się, z której tylko szum jednostajny, jakby jęk z głębin morskich wydobywający się daje znaki życia; Tło ołowiane rozjaśniają z prawej strony latarnie gazowe na Neufarwaser i najwyższe w forcie, a z lewej na pomoście daleko wysuniętym w morze za Seestey. Czasami wiatr przynosi echo muzyki z Kurhausu; o 10 wieczorem milknę wszystko ludzie się rozechodzą. Ciemności coraz większe, słychać tylko szum fal, koło północy poruszanych wiosłami rybaków. Od czasu do czasu tylko błysnie wprost w dali latarnia w porcie na Heli.

Dla obojętnych igraszka jest dla oczu to światło, ale jakże zbawczem dla tych, który w noc ciemną prują fale Bałtyku na okrętach i parowcach, dla biednych rybaków z narażeniem życia zdobywających byt dla swych rodzin!

Morze daje życie wielu biedakom, pole do zarobku tysiącom, zdrowie osłabionym, radość oku wrażliwemu na piękno, gdy w dzień pogoda mieni się barwami tęczy. Nie zawsze jednak stosownie do słów poety:

„Ciechemi gra piersiami rozjaśniona woda
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda.“

Bywają dnie, że jakby ukryte jakieś furje piekielne, od samego rana kłębią, piętrzą masę wody

czarnej jak atrament, lodowato zimnej, a wicher z rykiem fal tworzy piekielną orkiestrę. Pragnąc doznać i spróbować silnego wrażenia kąpałam się raz w podobnej chwili, naturalnie sama jedna byłam w wodzie, gdyż nie znalazło się więcej amatorów, tembardziej że i ulewa przyłączyła się do powiększenia grozy obrazu. Pani W. z Warszawy patrząc z werendy sądziła, iż nie wyjdę cało z tej próby, bo gdy fale się skłębiły nad głową, to parę minut nie było mię widać z wody. Śmierć miałam przed oczami, ale wrażenie było potężne, niezatarte.

Widok morza sprzykrzyć się nie może w Sobotach, tyle na widzianej przestrzeni wre życia zawsze, tak interesuje los statków, łodzi i okrętów widzianych, gdy się wie że Bałtyk mniej słony od innych mórz, więcej ma skał podwodnych więc niebezpieczniejszy jest dla żeglugi, bo się statki mniej pogłębiają w wodzie.

Pogoda w Sobotach dopisywała całe niemal lato, bo choć i deszcz padał rzęsy i niebo osnuło się chmurami nad ołowianem morzem, trwało to tylko godzin parę, a w nagrodę okazywała się czasami tak przepyszna tęcza, jakiej nigdy na lądzie nie widziałam. Szeroką obręczą okalała w półkole morze, wzorzyste i wyraźne jej barwy odbijały się w wodzie, a na niebie w powtórnie błędnym odbiciu, tęcza znikła, robiło się dziwnie jasno, a kolor morza piękniejszy był jak kiedykolwiek, spacer na plaży jeszcze przyjemniejszy, bo piasek po deszczu tężał, a co jest błoto nie wiedzieliśmy wcale, bo go nigdy nie bywało na wybrzeżu; piasek tak był czysty, iż dzieci i urocz miss M. kładły się na nim w dnie pogodne, bez uszczerbku dla białych sukienek. Rano tylko, tuż przy porzu zbierały dzieci dary wody w formie morskiej muszli, mimoż często też wyrzucane były przez wodę w wielkiej obfitości.

Już to Soboty, to raj prawdziwy dla dzieci, całymi dniami bawią się tuż przy morzu, kopią w piasku studnie, w konewczkach przynoszą z morza doń wodę, puszczaają okręci, co chwila wchodzą po kolana w morze, aż miło patrzeć jak się uwijają oddychając świeżem rzeźwem powietrzem wzmacniając płuca, pracą fizyczną rozwijają mięśnie, a i słońce nie paląc zarem nad morzem, a dając swoje „bain d'air“ jest także czynnikiem uzdrawiającym. Podwójna ta kąpiel, ruch i praca fizyczna działa wyśmienicie na dzieci, a i starsi użalać się nie mogą w Sobotach na bezsenność lub brak apetytu. Pensjonat w Miramare zaspokajał też głód w zupełności, rano roznoszono gdzie kto chciał, i co chciał do wyboru: kawę, herbatę, kakao, trzy sztuki pieczywa, bułkę, sucharek i rogalik, o 1½ obiad z pięciu dań, nie licząc jarzyn i różnych przypraw, wielka rozumaitość potraw dobrze także oddziaływała na apetyt, przeróżne ryby, drób, zwierzyna kompoty, świetne owoce leguminy codziennie na zmianę zjawiały się na stole, a wszystko smaczne, pod nadzorem samej gospośki przyrządzone, wina bardzo dobre do obiadu.

Między 4-tą a 5-tą kawa z ciastem, o 8-iej kolacja, mięso lub ryba na gorąco, wędliny, chleb, ser, masło, rzodkiewka wszystko ślicznie podane i butelka piwa.

Wszystko to, prócz wina i piwa wraz z mieszkaniem i usługą za 6 marek (około 3 rs.) dziennie. Jest to tryb życia mniej więcej wszędzie zaprowadzony w Sobotach, a i ceny przyjęte w Pensjonatach.

Kuchnia różni się od naszej sposobem przyrządzenia potraw, mięsiwa wszelkie jakby na pół gotowane, pół upieczone i nigdy nie tłustego jak w Karlsbadzie, kawa też inna jak u nas, dają do niej bardzo mało mleka i do tego zimne surowe.

Życie w Sobotach, jak dotąd, drogie nie jest, w głównych Hotelach jak: w Strand Hotelu, a nawet w Kurhausie można mieć obiad za 2 marki; mówiła mi p. adwokatowa M. z Warszawy, iż stółując się w domu można w trzy osoby utrzymać się za 5 marek dziennie.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Marya Krukowska, dla uczczenia pamięci swej matki Emilii, wdowy po s. p. Marcelim Czarńskim ofiarowała na rzecz Warszawskiego Schronienia nieuleczalnych paralityków (przy ulicy Nowomiejskiej) 1,500 rs.

— Z Ameryki donoszą o wielkiem powodzeniu, jakim się cieszy pani Rozalja Löw jako adwokatka w Nowym-Yorku. Liczy zaledwie 22 lat życia i jest pomocnicą brata swego, adwokata. Druga kobieta odznaczająca się w zawodzie adwokackim w New-Yorku jest P. Izaak.

— Z Tszunkingu w Chinach dochodzi nas wiadomość, że Angielska podróżniczka pani Bird Bishop dokończyła zamierzonej podróży po prowincji Szetszuen w celu dokładnego jej zbadania i wraca do Szangaju. Ludność zwiedzanej prowincji w wielu miejscowościach obrzuciła ją kamieniami;—uszyła jednak bez szwanku. Literatura zawdzięcza jej kilka dzieł bardzo zajmujących o Japonii i półwyspie Malakka.

— Młodziutka wiolonczelistka Elza Reugger, która ostatniej zimy z wielkiem powodzeniem wystąpiła na estradzie koncertowej w Berlinie, otrzymała na egzaminie w konserwatorium Belgijskim, gdzie studia skończyła, pierwszą nagrodę z najwyższem odznaczeniem.

— E. Nourry otrzymała nagrodę imienia Józefa Ceyn w summie 1,000 fr. za pracę literacką p. t. *Abrégé de l'histoire grecque*.

— D-r Angela Volkmann, młoda wiedenka, która praktykowała już w Nowym-Yorku z powodu, że niema prawa w stolicy swego kraju zajmować się swoim zawodem, osiadła na stałe w Berlinie. Studya skończyła w Pensylwanii College of Dental Surgery w Filadelfii, gdzie w czasie trzyletnich studiów złożyła egzamin z anatomii, psychologii i innych czysto medycznych przedmiotów. Wskutek summa cum laude złożonego egzaminu otrzymała dyplom doktora dentystyki.

— Jedną z najmłodszych kobiet delegowanych na międzynarodowy kongres jest delegatka rzymskiego związku kobiet, doktorka Marya Montessori, która niema jeszcze pełnych 25 lat;—w Lipcu r. b. złożyła egzamin doktorki. Była w roku bieżącym asystentem przy rzymskim szpitalu. Posiada, prócz specjalnego, ogólne wykształcenie, a przytem zajmuje się rzeczami domowymi, jako to: haftem, który mistrzowsko wykonywa. Kwiaty w jej laboratorium chemicznem znajdujące się świadczą, że umie się nimi zająć a fortepian o jej zamiłowaniu do muzyki, której się w wolnych od specjalnych zajęć chwilach oddaje.

— Londyńskie władze naukowe otworzyły tamże w ostatnich czasach 140 kuchni, w których się dziewczęta uczęszczające do szkół uczyć będą sztuki gotowania. Założono także pralnie w celu nauczania i 30,000 dziewcząt na koszt miasta korzystających z tego będzie,—jak również z nauki robót ręcznych, co w Anglii jest nowością.

— Gabriela Possaner, która złożyła z powodzeniem egzamin z psychologii przed professorem Exnerem w Wiedniu, złożyła obecnie przed professorem D-r Foldt egzamin praktyczny z anatomii. Odpowiedziała na wszelkie zadane pytania jaknajdokładniej i dopełniła sekcji na przedstawionym trupie. Wielka liczba słuchaczy asystowała egzaminom.

— Na tegorocznej wielkiej wystawie sztuki w Berlinie otrzymały trzy kobiety złote medale: londyńska malarka Laura Alma-Tadema, Amsterdamka rzeźbiarka Minea Bosch-Reitz i berlińska malarka Zofia Koner.

— Fotografowanie, jako zawód kobiecy, coraz więcej znajduje zastosowania. W Niemczech powstały już trzy wielkie zakłady naukowe w tym kierunku, specjalne dla kobiet, i tak: w Berlinie przy stowarzyszeniu pod nazwą Lette (ulica Koniggrätzer 90) w Wrocławiu przy Stowarzyszeniu pracy kobiet (ulica Katarzyny 18) i Zakład nauki fotografowania dla kobiet w Monachium (ulica Theresien 66). W zakładach tych kształcą się kobiety we wszyst-

kich gałęziach fotografowania, jak również na mogące kierować odpowiednimi zakładami.

— Udział kobiet w literaturze w ogólności a w prasie codziennej wszechgólnie wzrósł w ostatnich dziesiątkach lat znakomicie. Zwłaszcza w Anglii, gdzie liczba dziennikarek wynosząca w r. 1845 tylko 15, dochodzi obecnie do 800. Miss Show, która dla pisma „Times“ odbyła podróż po Australii, Mrs Crafword, paryzka korespondentka „Daily News“ i tygodnika „Truth“ M-rs Frederic długo letnia sprawozdawczyni gazety Pall Mall w Berlinie; Bettina Wirth, reprezentantka Daily News w Wiedniu pracują na polu pracy dziennikarskiej z powodzeniem. W ostatnich czasach trzy panie z wysokiej arystokracji odznaczyły się jako współpracowniczki gazet: Lady Somerset, Hr. Aberdeen i ks. Sutherland.

Z bieżącej chwili.

— Według doniesienia „Warsz. Dniew.“ nastąpiło Najwyższe Rozporządzenie, dotyczące przekształcenia politechniki ryskiej na instytut politechniczny o sześciu wydziałach: 1) inżynierskim, 2) budowlanym, 3) mechanicznym, 4) chemicznym, 5) gospodarstwa wiejskiego i 6) handlowym.

— Ministerium skarbu poleciło wszystkim kasom powstrzymanie wypłat jedno i trzy rublowymi biletami kredytowymi, a uskutecznianie ich natomiast w monecie srebrnej i złotej. Wszystkie do kas napływające bilety kredytowe powyższej wartości odsyłane będą do banku Państwa w celu ich zniszczenia.

— W połowie Października otwartą zostanie w Warszawie na Dynasach wielka panorama: „Tatr.“. Ogromne to płótno ma 400 stóp obwodu, a 60 łokci wysokości. Obszar ten trzeba było wypełnić wizerunkiem gór, który wykonano pod każdym względem świetnie. Dziś już, choć panorama nie jest jeszcze w zupełności ukończoną, wrażenie wywiera nader silne i efektowne. Na środku gmachu na wysokości trzynastu stóp, stoi widz na sztucznych szczytach, ułożonych z prawdziwych głazów tatrzańskich. Dookoła rozciąga się widnokrąg, na którego tle widnieją szczyty i piętrzą się skały. Widzimy tu: „Morskie oko“, „Dolinę pięciu stawów“, „Czarny staw“, „Miedziane“, „Dolinę Notwarską“, „Gerlach“, „Mnieha“, „Świnnicę“ i inne góry wnętrza Tatr. Wszystko to wygląda tak ładnie, iż patrząc w te przepaści doznaje się zawrotu głowy. Obraz porywa jak żywa natura. Panoramę tę zainicjował d-r Henryk Lgocki. Do apelu stanął zastęp malarzy młodych a dzielnych; oto ich nazwiska: Stanisław Janowski, Radziejowski, Mańkowski, Zelechowski, Kotowicz, E. Jasiński, Wankie, Ludwik Boller, który podczas zajęcia przy malowaniu panoramy spadł z rusztowania i śmierć poniósł na miejscu. Podstawową pracę wykonano w Monachium, a obecnie w Warszawie kończy się to wszystko pod kierunkiem p. Janowskiego. Panorama budzi ogromnie zainteresowanie wśród publiczności warszawskiej; nie wszyscy bowiem byli w Zakopanem a jeszcze mniej osób zajrzało w serce Tatr.

— Bawi w Warszawie utalentowany rzeźbiarz p. R. S. Lewandowski, który naprawił uszkodzoną pracę swoją, p. t. „Złowiarka.“. Za parę tygodni p. Lewandowski przybędzie do naszego miasta na kilka miesięcy w celu wykonania biustów zamówionych przez osoby z arystokracji. Jedną z pięknych prac p. Lewandowskiego, fryz, przedstawiający ale-

gorycznie przemysł i sztuki w postaci dzieciaków, nabył w tych dniach p. Mieczysław Epstein.

— W muzeum rzemiosł rozpoczęły się rysunki wieczorne dla młodzieży rzemieślniczej, która licznie salę odwiedza. Fabrykanci i rzemieślnicy powinni korzystać z tych wykładów i posyłać na nie uczniów i terminatorów, gdyż dowiedziona jest rzecz, iż znajomość rysunku stanowi podstawę doskonałości wszystkich rzemiosł.

— Teatr Łódzki wystawił w tych dniach nowy utwór p. Michała Wołowskiego, p. t. „Brzytwa“ ze średnim powodzeniem.

— W salonie artystycznym p. Krywulka wkrótce będzie otwartą wystawa p. t. „Koń w malarstwie.“. Wystawa ta zapowiada się wielce pomyślnie. Dotychczas zadeklarowano obrazy następujących artystów: Michałowskiego, Suchodolskiego, Andriollego, Pillatiego, Gierynskiego, Matejki, Siekierza, Łosia, Woldiego, Chełmońskiego, Puławskiego, Pawliszczaka, Ryszkiewicza, Kossaka, Bronisławskiego, Masłowskiego, Perdzińskiego, Kostrzewskiego, Witkiewicza, Wywióńskiego. Piotrowskiego, Weichert, Szeftczyka, Jasińskiego, Chełmońskiego, Berkmana. Uporządkowaniem i rozwieszeniem obrazów dyrygował p. Ryszkiewicz.

— Jako delegat instytutu muzycznego w Warszawie na wystawę muzyczną w Paryżu, wyjechał w tych dniach prof. Stanisław Barcewicz.

— Panopticum braci Macha otworzyło znowu swój lokal zgromadziwszy wiele nowych okazów, budzących prawdziwe zainteresowanie wśród widzów. W pokoju oddzielnym urządzono 30 telefonów, przenoszących za pomocą mikrofonu śpiew i muzykę z całą dokładnością. Ciekawość budzi również księżniczka - liliputka nazwiskiem Topaz, jako śpiewaczka, tancerka i magiczka.

— Na zebraniu członków Związku literackiego w Krakowie p. Józef Kotarbiński odczytał w tych dniach pracę, p. t. „Niezdrowa miłość“. Są to badania i spostrzeżenia nad wybujałością erotyzmu w życiu i literaturze.

— Kierownictwo oddziału malarstwa i rzeźby przy tak zwanych kursach wyższych dla kobiet imienia ś. p. Adryana Baranieckiego objął ma Jacek Malczewski, znakomity artysta malarz.

— We Lwowie zmarł ś. p. Euzebiusz Czerkawski, profesor filozofii na tamtejszym uniwersytecie wybitny poseł do rady państwa i sejmu. Zmarły uczony urodził się w d. 4 lutego 1822 r. w Tuczapach w Galicyi. Ukończywszy uniwersytet lwowski,

otrzymał na nim stopień doktora filozofii. Od r. 1843—1845 był docentem, następnie profesorem gimnazjum, radcą szkolnym inspektorem rządowym szkół w dobie bachowskiej reakcji. Z owych czasów zjednał sobie wielu nieprzyjaciół w kraju. W roku 1864, gdy era konstytucyjna wydawać zaczęła swoje owoce, przeniesiono go na radcę szkolnego do Gracu. W r. 1868 objął katedrę filozofii na uniwersytecie lwowskim. W epoce od 1870 do 1885 r. Czerkawski wraz z Grocholskim wywierał największy wpływ na tok spraw parlamentarnych w Galicyi.

— W Berlinie odbywa się obecnie międzynarodowy kongres kobiecy, który potrwa dni kilka. Po między tematami, jakie pomieszczone zostaną w referatach należy zanotować studium p. Minny Caner z Berlina, p. t. „O międzynarodowym znaczeniu kwestii kobiecej;“ oprócz tego mówić będą: p. profesorowa Bujwidowa „O studiach uniwersyteckich Polek“ dr. fil. Zofia Daszyńska „O nadmiernej liczbie kobiet w stosunku do mężczyzn;“ dr. med. Teodora z Kosmowskich Krajewska roden z Warszawy, a zajmująca obecnie urzędową posadę lekarza w Bośni wygłosił odczyt „O praktyce lekarskiej;“ wreszcie pani Reinschmidt-Koczalska ze Lwowa mówić będzie o reformie gospodarstwa domowego i przemysłowego kobiet.

— W Neapolu zmarł w 89 roku życia prof. Ludwik Palmieri, dyrektor obserwatorium meteorologicznego na Wezuwiuszu. Był on wynalazcą aparatu zwanego sismografem magnetycznym, zapisującym obrazowo przebieg i siłę każdego trzęsienia ziemi.

— W Trydencie odbyć się ma kongres antymasoński. Będzie to pierwszy kongres tego rodzaju. Komitet centralny mieszka w Rzymie i jest w ciągłej korespondencji z komitetami innych krajów. Ojciec św. Leon XIII-ty wysłał list do uczestników kongresu; list będzie odczytany na ogólnym zebraniu. Prawdopodobnie wystosowane będzie wezwanie do wszystkich katolików oraz ukaże się numer odpowiedniej publikacji, p. t. „Nowa krucjata.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 23-ci powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.—**Tom**. Historia opowiedziana przez matkę Marty. Nowelka, przez M. K. Clifort. Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Ś. p. Zygmunt Kaczkowski, przez J. Nitowskiego.—**Promyk szczęścia**. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dokończenie).—**Po burzy**, przez Ad. Mieszkę.—**Siostry Napoleona**, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—**Kazimierz Gliński. Plon niesiem**. Komedya w 2 aktach (dalszy ciąg).—**Wspomnienia z lata. Soboty** (dalszy ciąg).—**Kronika działalności kobiecej**.—**Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 23-ci.—**Tom**. Historia opowiedziana przez matkę Marty. Nowelka, przez M. K. Clifort. Przekład z angielskiego.—**Przegląd mód**. 32 wzorów i robót z opisem. **Sekrety gospodarskie**.—**Dyspozycja stołu**.